

Kolor przyrody i dolarów

Stwierdzenie, że dziś wszystko jest na sprzedaż, nie należy do szczególnie odkrywczych. Przyroda też jest na sprzedaż, to tylko kwestia ceny. A cena rośnie, bo na „produkty” Natury stale wzrasta popyt.

Żyjemy w coraz bardziej „sztucznym” świecie, pozbawionym – mówię o najbliższym otoczeniu tzw. cywilizowanych ludzi – znaczących przejawów dzikiej przyrody. Jednak człowiecza tęsknota za nimi wciąż trwa, tkwi gdzieś w zwojach naszych mózgów, w zakamarkach genotypów, w sercach i duszach. Tkwi na przekór temu, co Guido Ceronetti nazwał Świętą Inkwizycją Ducha Czasu, mając na myśli wzorce kulturowe, które nakazują nam wyrzucić z pamięci wszystkie wspomnienia i skojarzenia z epoką sprzed nastania klonowania, cybertechnologii i promów kosmicznych.

Niedawno chińskie Ministerstwo ds. Bezpieczeństwa Publicznego, tamtejsze służby leśne oraz międzynarodowa policja – Interpol, zorganizowały w Pekinie spotkanie poświęcone przestrzeganiu Konwencji ONZ o międzynarodowym handlu zagrożonymi gatunkami dzikiej flory i fauny (CITES). Było ono niedostępne dla mediów i szerszej publiczności. Na spotkaniu stwierdzono, że nielegalny obrót zagrożonymi gatunkami fauny i flory przekroczył w skali świata wartość 10 miliardów dolarów rocznie, ustępując tylko handlowi narkotykami i bronią. To nie pomyłka – wśród sprzecznych z prawem źródeł zarobkowania sprzedaż dóbr przyrody zajmuje trzecie miejsce!



Fot. Piotr Morawski

Nie ma handlu czymkolwiek, jeśli nie istnieje zapotrzebowanie na daną kategorię produktów. Jak więc widać, na dziką przyrodę – jej najcenniejsze „składniki” – istnieje ogromny popyt. Są całe rzesze kupców gotowych wydać na takie zakupy wielkie sumy pieniędzy. Oczywiście część tych wydatków dotyczy sfery czysto użytecznej. Tak dzieje się w przypadku popularnych m.in. w krajach azjatyckich tradycyjnych lekarstw czy afrodyzjaków produkowanych z wykorzystaniem tych gatunków (w całości lub ich elementów), które wskutek masowej eksploatacji oraz ogólnego wyniszczenia środowiska znalazły się na skraju zagłady. Ale nie tylko o takie zastosowanie zagrożonych gatunków tu chodzi. Sporą część nielegalnego procederu stanowi sprzedaż tych elementów, które nie mają żadnego „produktywnego” zastosowania. One mają ludzi po prostu cieszyć – zaspakajać potrzebę snobizmu, pozwalać obcować z egzotyką, ale także w przewrotny sposób dać upust człowieczym fascynacjom i tęsknotom za prawdziwą przyrodą.

Bo takiej przyrody jest coraz mniej w zasięgu ręki. Często słyszy się opinie, że społeczeństwo zmierza w kierunku mentalnego rozbratu z naturalnym otoczeniem, że żyjemy w warunkach coraz bardziej sztucznych i w takich właśnie żyć chcemy. Owszem, istnieje ogromna presja rynku, reklamy i wzorców kulturowych, aby coraz bardziej otaczać się technicznymi gadżetami. Ale wystarczy spojrzeć, co dzieje się z mieszkańcami wielkich miast w każdy pogodny weekend zwykły czy tzw. długi – tysiące osób ciągną w to, co nazywa się plenerem. Wystarczy popatrzeć, jakie obłędnie przeżywają parki narodowe, nawet te najbardziej nieatrakcyjne z punktu widzenia współczesnych standardów przemysłu turystycznego. Wystarczy sprawdzić, jak modne są wyprawy w miejsca egzotyczne, a jednocześnie wcale nie „przyjazne” i „komfortowe”.

Oczywiście to wszystko rzadko ma postać głębokiego i naznaczonego szacunkiem zafascynowania przyrodą. Tego już ludzie wychowani w metropoliach, pośród cywilizacyjnych gratów, nie potrafią. Ale coś gna ich do tych miejsc, które są faktycznie lub tylko w opinii laików, „prawdziwą przyrodą”.

Boleśnie przekonali się o tym obrońcy Puszczy Białowieskiej, którzy przez lata serwowali recepty mówiące, iż alternatywą dla przemysłu leśnego jest w tym regionie turystyka. Dziś biją na alarm, bo hordy turystów - z samochodami, drogami dojazdowymi, hałasem, rozbudową infrastruktury itp. - stają się dla Puszczy ogromnym zagrożeniem.

Wspomniany Ceronetti napisał w jednym z esejów: „Dzisiejszy Rynek ukrył w swoich pancernych podziemiach wszystko, co ludzkie, żeby za jakiś czas móc to odsprzedać po lichwiarskich cenach tym wszystkim, którzy będą tego bardzo spragnieni”. Cywilizacja przetrzebiła przyrodę, a teraz jej resztki stają się chodliwym i bardzo zyskownym produktem. To, co dla naszych pradziadków było jeśli nie najbliższym otoczeniem, to przynajmniej czymś stosunkowo powszednim, dla obecnego i przyszłych pokoleń jest i będzie luksusem.

Wśród ekologów dość powszechnie panuje przekonanie, że taka „komercjalizacja” przyrody jest szansą na jej ochronę. Większość obecnych wytworów człowieka można bez trudu powielić w dowolnej ilości, a zatem są one dostępne wszystkim, których na to stać. Natomiast przyroda jest jedna i niepowtarzalna. Nie wyprodukujemy drugich Tatr czy Bagien Biebrzańskich. Jeśli zatem chcemy się nimi cieszyć jako konsumenci - tak właśnie trzeba to nazwać! - piękna Natury, musimy je chronić. W pewnym sensie to faktycznie działa. Zbierane są ogromne kwoty na wykup i ochronę cennych terenów, rządy państw coraz częściej inwestują w długofalowe zyski z turystyki zamiast od ręki przerobić stare lasy na deski, a tereny podmokłe zasypać i przeznaczyć na parcele budowlane.

Ale wątpię, by na dłuższą metę dało się pogodzić trwanie enklaw przyrody z presją jej - niszczycielskich w swej masie - miłośników. Albo przyroda będzie powszechna, co pozwoli na obcowanie z nią tym wszystkim, których dusza gna do lasu czy w góry, albo żadne zakazy, nakazy czy „święte prawo własności” nie uchronią jej ostatnich mateczników przed dewastacją. Dewastacją przez tych, którzy przyrodę kochają - i jednocześnie będą mieli na tyle grube portfele, by za tę miłość zapłacić, tym więcej, im mniej przyrody się zostanie.

Remigiusz Okraska